

ZNACZENIE JĘZYKA GRECKIEGO

Ze względu na wielość aspektów, powyższy temat jawi się jako wyjątkowo interesujący. Zróznicowanie języka (eolski, joński, dorycki); ludzie mówiący po grecku i ich pochodzenie; alfabety, którymi go zapisywano; obszerna literatura niereligijna, w której ma swe źródła — począwszy od Homera — cała historia poematów, greka Żydów z diaspory oraz tłumaczenie Septuaginty, greka Nowego Testamentu oraz pierwszych Ojców Kościoła, takich jak św. Cyprian, biskup i męczennik, św. Ireneusz, Tertulian, Ignacy z Antiochii, Polikarp ze Smyrny oraz wielu innych; podział na Cesarstwo Wschodnie, gdzie greka żyła dalej jako język mówiony, rozwijając się nadal tak, jak wszystkie inne języki starożytne, oraz na Cesarstwo Zachodnie; proces zanikania greki aż do czasu najazdów Tureckich oraz ucieczki mnichów greckich do Italii, gdzie przynieśli oni ze sobą całe bogactwo starożytnych i nowszych kodeksów, wraz z licznymi dziełami literatury pogańskiej, które w swym czasie uratowano z pożaru biblioteki w Aleksandrii; następnie literatura chrześcijańska pierwszych wieków naszej ery, a w końcu jeszcze kwestia wymowy reuchliniańskiej czy erazmiańskiej? Jest to długa historia, bogata w treść i bardzo interesująca, która stanowi integralną część naszej kultury i współczesnej cywilizacji europejskiej. W ciągu tej historii nasze języki miały okazję wchłonąć całe bogactwo greckiego słownictwa, co bezdyskusyjnie potwierdza etymologia (już samo to słowo składa się z dwóch greckich wyrazów...) i to nie tylko w słownictwie naukowym, ale również w języku używanym na co dzień. Mam tu na myśli nie tylko takie terminy jak: „hipoteza”, „botanika”, czy „meteorologia”, ale także „farmacja”, „horoskop”, „holograf” „telegram”, „telefon”, „program” i „gramatyka” oraz wiele innych, które można by wyliczać bez końca...

Chodzi tu nie tylko o fascynującą historię (z której tak naprawdę zaczynamy zdawać sobie sprawę dopiero obecnie) zejścia ludów Północy, jakie dokonywało się etapami pomiędzy drugim a pierwszym tysiącleciem przed Chrystusem (o czym wiedzieliśmy już wcześniej). Ludy te mówiły po grecku i przyniosły ze sobą to, co my zwykliśmy nazywać homerycką epopeją, a co w rzeczywistości oni znali już na piśmie (tak, tak, na piśmie!). Jeśli chodzi o hieroglify egipskie albo o pismo demotyczne (pewien rodzaj

stenografii, którą kupcy stworzyli na własny użytek), albo o pismo klinowe Hetytów z Ugarit w Syrii (z którego najprawdopodobniej ci sami kupcy zaczerpnęli około trzydziestu „znaków”, tworząc pewien rodzaj alfabetu *ante litteram*), to przenoszą nas one daleko w przeszłość, aż do XV w. przed Chr. Jeszcze dalej, bo aż do 2250 przed Chr. przenoszą nas archiwa z Mari. Natomiast w Palmyrze, wciąż jeszcze w Syrii, która była miejscem postoju karawan, mającym do dziś wielkie znaczenie na tamtym terenie, odkryto ślady po działalności gospodarczej z okresu neolitu, która sięga kultury mustierskiej, co przenosi nas aż 75 000 lat wstecz! Należałoby wspomnieć również o cywilizacji, która istniała na Półwyspie Skandynawskim w epoce brązu, czyli w drugim tysiącleciu przed Chr. Była to wysoce rozwinięta cywilizacja morska. Żeglowano po Bałtyku, pod żaglami lub za pomocą wiosł, na łodziach z płaskim dnem i identycznie zaokrąglonych na dziobie i na rufie. Czyli na takich samych, jakie są opisane w Iliadzie i w Odysei, co znaczyłoby, że musiała to być cywilizacja naprawdę wysoko rozwinięta. Prowadzone tam badania archeologiczne nie zostały jeszcze zakończone.

Jednak naturalne zmiany klimatyczne, które tyle już razy przeobrażały oblicze ziemi i być może nadal je zmieniają, wywołały z pewnością niekrótki okres burz morskich i gwałtownych zjawisk atmosferycznych, mgieł, śnieżyc i gradobicia, a przez to doprowadziły do wyruszenia Achajów z Północy na Południe.

Jeśli jest prawdą, że lud ten znał pismo i że przyniósł je ze sobą, to musimy zapytać, o jaki rodzaj pisma tu chodzi. Wiemy, że na Krecie znaleziono tabliczki z pismem linearnym, w którym uczeni wyróżnili niektóre litery alfabetu. Spośród nich zinterpretowano do tej pory tabliczki z tekstem linearnym B (Ventris i Chadwick — „alfabet myceński pisma linearnego B”) i stwierdzono, że zostały napisane w języku greckim, który jest starszy od jego dotychczas znanych postaci. Jawi się też pytanie, czy pismo przyniesione przez ludy Północy było pismem linearnym, czy też runicznym? Niezależnie od wszystkiego znaczenie greki dla cywilizacji antycznej jest niepodważalne.

W jaki sposób zapisywano grekę w tamtej nowej rzeczywistości basenu Morza Śródziemnego? W tym miejscu do głosu dochodzą Fenicjanie. To właśnie z ich kraju, który jest wąskim pasem ziemi obfitującej w palmy (zresztą również nazwa Fenicjanie pochodzi z greki, w której słowo *phoiniks* znaczy palma!), kupcy fenicyjanie przejęli staroegipskie pismo demotyczne i przekształcili je w system jeszcze prostszy, składający się z około dwudzie-

stu czterech liter. Jednak ich język należał do grupy języków semickich i dlatego nie stworzyli znaków określających samogłoski, które były im niepotrzebne ze względu na specyficzną, morfologiczno-syntaktyczną strukturę ich języka. Od Fenicjan inicjatywa przeszła później na Greków, prawnuków dawnych Achajów, którzy posiadali wiele samogłosek i dyftongów. To właśnie u nich dwie pierwsze litery alfabetu zostały nazwane „alfa” i „beta”. Stąd zaś bierze się początek tego, co nazywamy „alfabetem”. O wiele później także Latynowie, którzy do tej pory używali pisma Etrusków, przejęli i zaadaptowali ów nowy alfabet dla potrzeb swego języka. Ich najważniejsza inwencja polegała na tym, że każdemu dźwiękowi przypisali jeden znak, co stało się powodem wszystkich komplikacji, z jakimi my sami mamy dziś do czynienia. A wiąże się to z zastosowaniem tego samego alfabetu do różnych języków, które poszczególne dźwięki odczytują, niestety, na wiele różnych sposobów!

Jeśli jednak przesuniemy się w czasie aż do II wieku przed Chr., to odkryjemy, że w tym okresie kształtuje się, lub już się ukształtował, pewien język wspólny, czyli *koine*, który był powszechnie używany w mowie i na piśmie w całym basenie Morza Śródziemnego. To właśnie ten język *koine* interesuje nas z wielu względów: zarówno z powodu greki Żydów z diaspory (patrz wspomniane tłumaczenie Septuaginty oraz te części Biblii, które najprawdopodobniej już w oryginale zostały napisane w języku greckim i nie zostały przyjęte do hebrajskiego kanonu Pism świętych, a przez katolików są akceptowane praktycznie od początku), jak również z powodu greki z I wieku po Chr., którą posługiwano się na terenie całego Cesarstwa Rzymskiego, a w szczególności na wybrzeżu Morza Śródziemnego, we wschodnich prowincjach rzymskich, a która później stała się językiem pierwszych chrześcijan, niezależnie od tego, gdzie dotarli po zburzeniu Jerozolimy. Tym sposobem doszliśmy do greki Nowego Testamentu. W sumie jest to język, podobnie jak inne, bogaty w różnego rodzaju odcienie, ponieważ bez wątpienia inna była greka kupców, inna literatów, a jeszcze inna używana przez zwykłych ludzi, tu z pewnością także przez Jezusa, na przykład w czasie Jego rozmowy z Syrofenicjanką, która była pochodzenia greckiego i której córeczkę uzdrowił Jezus (Mk 7, 24-30 oraz Mt 15, 21-28).

Naturalną rzeczą jest fakt, że język ten nie był pozbawiony różnych regionalizmów, istniejących obok oryginalnego języka ojczystego i kultury ludzi żyjących na terenie Cesarstwa. Mimo to przypuszcza się, choć jest to tylko hipoteza uczonych, że pierw-

sze zbiory słów i czynów Jezusa, późniejszy punkt wyjścia do przepowiadania, jakie nosił ze sobą każdy misjonarz, zostały zredagowane po aramejsku. Albowiem faktem jest, że pierwsi członkowie Kościoła Jerozolimskiego rozmawiali między sobą właśnie po aramejsku. Jednak kiedy ze względu na polecenie Jezusa oraz z powodu prześladowań Jego uczniowie rozpiezchli się poza Jerozolimę, a nawet poza Palestynę, greka, którą mówili i rozumieli wtedy praktycznie wszyscy, mimo woli stała się językiem Kościoła, który musiał się otworzyć na świat. Z tej przyczyny później wszystkie księgi Nowego Testamentu zostały napisane w języku greckim. W tym samym języku, dzięki tłumaczeniu Septuaginty, od kilku już wieków były rozpowszechniane również księgi Starego Testamentu.

Na tym tle winniśmy postrzegać wszystkie pisma Nowego Testamentu, a w szczególności Ewangelię św. Marka, która jest zdecydowanie najkrótszą spośród całej czwórki. Studia biblijne zaczynają na nowo odkrywać znaczenie tej księgi, a jej autor jest uważany za twórcę gatunku literackiego, który jest dziś powszechnie zwany „ewangelią”. Istnieje jednak problem z określeniem czasu powstania dzieła św. Marka. Największym zaufaniem darzy się opinię, która twierdzi, że jest ona katechezą św. Piotra, głoszoną Rzymianom, spisana po jego śmierci męczeńskiej, poniesionej za panowania Nerona. W takim przypadku chodziłoby o okres między 63 a 70 rokiem po Chr., ponieważ — jak zauważono — nie ma w niej wzmianek o zburzeniu Jerozolimy, za wyjątkiem przepowiedni Jezusa, zapisanej w Mk 13, 14nn. Odkrycia w Qumran skłaniają do obniżenia datowania wszystkich ksiąg Nowego Testamentu. Pozostając jednak przy tradycyjnej opinii na ten temat, znajdujemy się pomiędzy rokiem 55 (pierwsze listy Pawła) a 90 (przypuszczalna data powstania *Apokalipsy*). Tym sposobem otrzymujemy łuk dziejowy, który swym zasięgiem obejmuje około czterdzieści pięć lat historii.

Wydaje się oczywiste, że z lingwistycznego i stylistycznego punktu widzenia mamy do czynienia z dość dużym zróżnicowaniem, jakie istnieje pomiędzy żywiołową greką Pawła a prostym, choć wartościowym stylem Łukasza. Piotr i Jakub troskliwie dobierają swe wyrażenia, Jan zważa na dokładność lingwistyczną nie mniej niż na precyzję opisową. Marek używa języka prostego, spontanicznego i żywego. Każdy z nich, co nikogo nie dziwi, stosuje hebraizmy (lepiej powiedzieć: arameizmy). Logiczne jest również to, że tak szczególna treść orędzia chrześcijańskiego prowadziła do powstawania nowego znaczenia słów.

Czy w tym miejscu możemy zakończyć naszą dokumentację i potwierdzić wielkie znaczenie greki zarówno dla kultury świeckiej, jak i chrześcijańskiej?

Jeśli chodzi o badany okres, to bez wątpienia tak. Jednak w wiekach następnych przychodzą wielkie zmiany. O ile pod koniec IV w. Ambroży, urodzony w szlacheckiej rodzinie o wysokim poziomie kultury, zna jeszcze grekę, o tyle współczesny mu Augustyn skarży się, że niestety nie zna jej w takim stopniu, jakby sobie tego życzył. W rzeczywistości w tamtym okresie grekę wyparła już łacina i na jej miejscu stała się językiem Imperium, które ponadto zmierzało już do podziału na część zachodnią i wschodnią (gdzie — jak wiemy — greka dalej pozostała w użyciu). I jak to powiedzieliśmy w odniesieniu do greki, podobnie stało się również z łaciną, która posiadała tak wiele różnic, jak wiele było regionów i sposobów mówienia, z którymi przyszło jej się wymieszać. Aby to sobie uzmysłowić, wystarczy pomyśleć o znanych nam językach neoromańskich, o różnicy pomiędzy hiszpańskim, katalońskim, portugalskim, *langue d'hoc* (prowansalskim) i *langue d'oïl* (źródło współczesnego języka francuskiego), o wszystkich dialektach poszczególnych regionów Italii, czy o języku rumuńskim. Prawdopodobnie mielibyśmy nawet pewien rodzaj neołaciny afrykańskiej, będącej mieszanką łaciny i języka punickiego, która powstała na wybrzeżu Libii i Algierii (była to kontynuacja łaciny św. Augustyna), gdyby w VII wieku nie doszło do inwazji Arabów, która aż do granic Hiszpanii wchłonęła i zniszczyła wszelki ślad poprzedniej cywilizacji.

Wspomnieliśmy o powrocie greki do Italii i Europy, który został wywołany inwazją turecką, oraz o jej wymowie reuchliniańskiej i erazmiańskiej. Rodzi się jednak pytanie: w jaki sposób owi mnisi uczyli wtedy języka greckiego? A jak się go dzisiaj naucza i jak w konsekwencji my się go uczymy?

To, jak uczyli go tamci mnisi, pozostanie chyba niezbadaną tajemnicą. Natomiast dzisiaj moim osobistym doświadczeniem, jako byłej uczennicy gimnazjum, jest to, że nauczyłam się na pamięć całej gramatyki, reguł, wyjątków i wielu innych rzeczy, bez zrozumienia czegokolwiek ze struktury języka. Natomiast w liceum profesor Mario Untersteiner pomógł nam zrozumieć (czyli nie tylko nauczył!) jego składnię, dzięki czemu nagle cała ta bezładna masa wiedzy poukładała się i rozjaśniła, pozwalając mi na porównanie owego „martwego” języka z jakże żywym językiem włoskim.

Moje doświadczenie nauczycielskie polega na tym, że od własnych uczniów nauczyłam się, jak powinnam uczyć (nie tylko greki), dzięki temu, że obserwowałam ich reakcje i starałam się

znaleźć takie sposoby wyjaśniania rzeczy, które odpowiadały dostrzeganym u nich możliwościom percepcji. A skoro nie ma nie tylko dwóch takich samych klas, ale nawet dwóch identycznych osób, dlatego nauczyłam się wyklądać te same rzeczy zawsze w inny sposób, tak aby w końcu znaleźć ten właściwy dla konkretnego przypadku.

A zatem moją metodę (to też jest greckie słowo, które oznacza sposób, drogę), moją drogę stworzyłam sobie sama, krok po kroku, i absolutnie nie polega ona na uczeniu na pamięć regułek, wyjątków, czy wyjątków od wyjątków.

Kiedys znalazłam w domu pewną starą książkę, choć sama już nie wiem, jak się to stało. Było to dziełko: *L'art d'apprendere les langues ramenée a ses principes naturels*, autorstwa niejakiego M. Weissa, który w 1808 roku, czyli w czasach Napoleona Bonapartego, napisał tę właśnie 134-stronicową książeczkę, używając przy tym archaicznej już dla nas gramatyki. Ów pan był „tłumaczem w Ministerstwie Wielkiego Sędziego oraz profesorem języka i literatury francuskiej i niemieckiej”, poza tym był również wykładowcą na Uniwersytecie Paryskim. Jego zamysł zawarty jest w powiedzeniu Seneki, które wybrał sobie jako wymowny *ex libris*:

Longum est iter per praecepta, sed breve et efficax per exempla.

Faktycznie, droga jest długa, zaś krótka i skuteczna jest ta, która posługuje się przykładami. Możemy zgodzić się z tym jego założeniem?

W rzeczywistości Seneka nie mówi, że droga reguł, bądź gramatyki, nie jest w ogóle drogą, lecz stwierdza jedynie, że jest ona długa, natomiast droga przykładów jest dla niego nie tylko krótka, ale ponadto jeszcze skuteczna. To tak jakby powiedział, że ta pierwsza jest nieskuteczna! W jakim znaczeniu nieskuteczna? W odniesieniu do czego? W odniesieniu do nauki języków, która jest sztuką i która winna być sprowadzona do swych naturalnych zasad. A jakie są te „naturalne zasady” poza tym, że są one przeciwne nienaturalności gramatyki, co — jak mi się zdaje — jest łatwo wyczuwalne? Chodzi tu o okoliczności i warunki, w jakich od najmłodszych lat „w naturalny sposób” spontanicznie się uczymy ojczystego języka.

W tym miejscu pozwolę sobie na pewne stwierdzenie, które — moim zdaniem — jest bardzo ważne. W człowieku drzemie „naturalna”, wprost wrodzona predyspozycja do mówienia. Odpowiada ona fundamentalnej potrzebie utrzymywania stosunków z inny-

mi ludźmi, konieczności socjalizacji. Staje się ona również niezbędna do przetrwania, ale w tym wypadku konieczność ta jest wspólna dla człowieka i zwierząt, a nawet roślin, i nie tylko. W pewien sposób nie tylko zwierzęta, ale także rośliny, wiatr, niebo, chmury, morze i góry, posiadają swój „język”, komunikują się między sobą w sposób świadomy lub nie. U Łukasza (12, 54nn) i Marka (16, 2nn) czytamy, że Jezus gani swoich słuchaczy za to, iż rozumieją język nieba i chmur, a nie potrafią zrozumieć sensu Jego nauczania.

Chociaż wszystko ma swój język, to jednak tylko człowiek potrafi prawdziwie mówić. Jego zdolność do „mówienia” jest — że tak powiem — ogólna. Nie jest to zdolność do mówienia konkretnym językiem. Każdy człowiek dorastając będzie mówił tym językiem, jaki od dziecka słyszy wokół siebie, nawet jeśli będzie to język inny od języka rodziców. Zdarzało się na przykład w Niemczech, że nasi emigranci, którzy pracowali całymi dniami, zostawiali swe dzieci u życzliwych sąsiadów mówiących po niemiecku, przez co ich dziecko, kiedy zaczęło naśladować słowa dorosłych, w konsekwencji mówiło najpierw po niemiecku, a nie po włosku, jak jego rodzice. Jeśli później nauczyło się od rodziców również języka włoskiego, to należało już do szczęśliwców, którzy w sposób „naturalny” opanowali dwa języki.

Dlatego dziękuję panu, Monsieur M. Weiss!

Jeszcze większy dług wdzięczności mam w stosunku do innego francuskiego profesora, tym razem trochę nam bliższego w czasie, a jest nim Jacques Perret. Od niego przejęłam bowiem pomysł na metodę, jaką zastosowałam do nauki/przyswajania greki (a później również łaciny). Bardzo pożyteczna była dla mnie szczególnie pierwsza część jego *Latin et Culture* (wydanej przez Desclée De Brouwer, Bruges 1947). Dzięki niemu zrodziło się także moje dziełko *Leggo Marco e imparo il greco*, Casale Monferato, wielokrotnie wznawiane. Używałam go do wykładów prowadzonych na Wydziale Teologicznym Północnej Italii. Dzięki tej pozycji również wielu dorosłych, którzy nigdy wcześniej nie studiowali greki, w ciągu jednego roku nauczyło się jej wyśmienicie.

Dlatego dziękuję również panu, profesorze J. Perret!

To cudowne, że człowiek nigdy nie przestaje się uczyć i że jest mu dane spotykać bliskie lub odległe w czasie osoby, które pomagają mu osiągnąć to, czego wcześniej nauczyły się same — inteligentnym wzrokiem obserwować naturę i jej sposób postępowania.

Czy zatem wszystkie wspomniane tu kwestie wskazują na to, że gramatyka jest czymś, czego należy się pozbyć? Absolutnie nie! Wskazują one jedynie na to, że nie należy jej stawiać na pierw-

szym miejscu, lecz na dalszym, jako interesujące i bardzo ważne, naukowe i organiczne, opisanie sposobu funkcjonowania jakiegoś języka, jego form i struktur. Jest to taka refleksja, jaką rozum ludzki czyni mimo woli nad naturą języka, nad prawami rządzącymi rozumowaniem oraz nad cudownym darem Boga, jakim jest sam język.

W sumie to już Latynowie czuli potrzebę robienia zbiorów i repetytoriów słów i zwrotów (i to nawet w porządku alfabetycznym, przez co są protoplastami naszych słowników) oraz stworzenia czegoś w rodzaju naszej gramatyki, takiego naszego „Donato” W tym ostatnim przypadku chodzi o najbardziej kompletną gramatykę języka łacińskiego, którą napisał Elio Donato, uczony żyjący w połowie IV w. po Chr. i uważany — przez antonomazję — za *grammaticus urbis Romae*. Dzięki autentycznej głębi swych studiów wychował on całą generację uczonych, począwszy od św. Hieronima, który z dumą nazwał go *praeceptor meus*. Pozostawił po sobie szeroko rozpowszechnioną *Ars grammatica*, która potwierdza jego wielką mądrość dydaktyczną. Nosi ona jego imię „Donato” i dlatego, „uczyć się Donata” nie znaczy nic innego, jak uczyć się łaciny.

Z tego, co mi wiadomo na ten temat, myślę, że i ja zupełnie zgadzam się z Elio Donato, choć przyznam, że do tej pory nie miałam okazji zapoznać się z jego dziełem. Mam jednak nadzieję, że uda mi się to uczynić jak najszybciej. Dobra metoda nauczania zawsze powinna wychodzić od ucznia, czy to młodego, czy też starszego wiekiem, i prowadzić go do refleksji nad własną inteligencją.

Na czym polega owa metoda, którą tak zachwalam w *Leggo e imparo il greco*? Przede wszystkim niezbędne wydawało mi się przejście przez kolejne etapy, począwszy od samego alfabetu, najpierw oczywiście majuskułowego (minuskuła jest późniejsza, podobnie jak w łacinie, ponieważ Grecy i Latynowie nie używali minuskuły, co łatwo zauważyć na różnego rodzaju inskrypcjach). Przykładem może tu być skrót imienia Chrystus, które wszyscy czytają PAX, podczas gdy mamy tu *chi* (X) poprzedzone przez *rho* (P), albo słynna ryba, którą pierwsi chrześcijanie rysowali na ziemi, aby rozpoznawać się między sobą, a która po grecku stanowi skrót od pierwszych liter „Jezus Chrystus Syn Boży Zbawiciel”. Następnie przechodziłam do imion Maryi, Józefa, Izajasza, Jana oraz wszystkich pozostałych Apostołów. Pokazawszy wszystkie litery, pisałam w pionie cały alfabet (majuskułą i minuskułą) podpisując wszystkie litery po grecku oraz w transliteracji włoskiej, a na końcu podawałam także ich łacińskie odpowiedniki,

gdzie przy okazji można było zauważyć, że kolejność liter w alfabecie greckim różni się od ich porządku w alfabecie łacińskim.

Po zapoznaniu się z alfabetem, pierwszym przerabianym tekstem jest Mk 1, 1-6, czyli rodowód Jezusa. Tekst bardzo łatwy, bo składający się prawie z samych imion. Posłużył mi on do wskazania pewnych charakterystyk języka greckiego, jakich nie mamy w języku włoskim — przede wszystkim przypadków, dalej akcentów i przydechów — oraz do wyjaśnienia ich znaczenia i zastosowania. Jak widzimy, wstęp ten jest dostosowany do początkujących, ale wydaje mi się ważne, aby nie pomijali go nawet ci, którzy już kiedyś uczyli się greki, ponieważ powtórzenie sobie tego, co już się wie, jest rzeczą ogromnie pożyteczną.

Inną ważną sprawą jest podstawienie pod każdym greckim słowem jego odpowiednika we własnym języku (nawet w zbiorze modlitw, który znajduje się na końcu książki), ponieważ pomaga to w dokonaniu porównania charakterystycznego sposobu budowania zdań, czyli osobliwego porządkowania w nim szyku wyrazów. Krótko mówiąc, jest tam zawarta cała lista wstępnych spostrzeżeń przeznaczonych dla tych, którzy starają się nie tylko porównywać znaczenie poszczególnych wyrazów, ale również strukturę zdania, okresu, a nawet całej strony.

Kiedy myślę o tych wszystkich sprawach, a potem słyszę, że Ministerstwo ma zamiar wycofać grekę z programu szkolnego, ponieważ „grekę można czytać także w tłumaczeniu włoskim”, to naprawdę ciarki przechodzą mi po całym ciele. Oczywiście, że wielkie dzieła literatury greckiej, czy to chrześcijańskiej, czy też pogańskiej, można czytać w tłumaczeniu. W końcu nawet w czasie Mszy św., bądź w Liturgii godzin, pewne fragmenty Starego czy Nowego Testamentu czytamy po włosku. Nawet łacińskie teksty czytamy dziś po włosku. Przecież po Soborze Watykańskim II języki nowożytne powszechnie weszły do liturgii. Pamiętam, z jakim wzruszeniem w Loreto znalazłam się pomiędzy grupami pielgrzymów niemieckich i polskich i słuchałam Mszy św. w ich językach, wymieszanych między sobą. Jednakże czym innym jest środowisko liturgiczne, a czym innym literatura. Ostatecznie można się posłużyć tłumaczeniami, którym towarzyszy wersja oryginalna, aby w ten sposób ci, którzy znają język, mieli możliwość zaglądania do oryginału. W końcu może to mieć zastosowanie do wszelkich dzieł literackich, zarówno do prozy, jak i do poezji, niezależnie od języka. Sama przetłumaczyłam *Iliadę*, *Odyseję* i *Eneidę*, a wszystkim tym tłumaczeniom, niezależnie od wydawcy, zawsze towarzyszy tekst oryginału.

W naszych szkołach nauka języków klasycznych, łaciny i greki, jest czymś fundamentalnym, właśnie ze względu na to, że jest ona niezbędna w zdobywaniu pogłębionej wiedzy na temat języka włoskiego. I jest ona potrzebna nie tylko dla tych, którzy sami będą nauczycielami i z tego powodu będą musieli wyjaśniać swymi uczniom, niezależnie od ich wieku, naturę i etapy rozwoju języka ojczystego. Ponadto pogłębiona znajomość własnego języka jest czymś niezmiernie ważnym i pożytecznym dla każdego.

Poza tym, czyż to nie *Magna Grecia* jest chlubą Sycylii i sporej części południowych Włoch? Gdzie umieścimy wtedy *Piana dei Greci*, gdzie do dziś mówi się po grecku? Co zrobimy z Bazylianami z Grottaferrata, którzy każdego dnia sprawują Mszę św. i odmawiają wszystkie godziny liturgiczne właśnie po grecku? Czyż oni nie są Włochami? A przecież nie tylko w Grottaferrata, ale także w Mediolanie, Rzymie i być może w wielu innych miastach Italii sprawuje się do dziś długie grecko-katolickie liturgie.

Mam nadzieję, że głosy, jakie do mnie dotarły, są pozbawione podstaw. A jeśli tak nie jest, to myślę, że należy przeprowadzić jakąś kampanię w obronie nauki języka greckiego w naszych szkołach. Jestem przekonana, że warto.

Oczywiście, wszystko zależy od tego, jak się go naucza i jak się go uczymy, ale tu już wchodzimy w dziedzinę przygotowania nauczycieli, co też jest sprawą ogromnie ważną, ale wykracza poza ramy tego artykułu.

tłum. Mieczysław Brzezinka